

Na temat niedorzeczności zawartych w *Kodzie Leonarda da Vinci* Dana Browna napisano już sporo. Głos zabierali specjaliści, wypowiedziała się nawet Rada Naukowa Episkopatu Polski. Dalsze wyliczanie bzdur, uproszczeń i przekręceń, w jakie obfituje ta książka, jak i inna powieść Browna, *Anioły i demony*, opowiadająca o przygodach tego samego bohatera, mija się z celem. Warte uwagi wydają się natomiast środki użyte przez pisarza do skonstruowania głównej postaci oraz wiza nauk o kulturze, jaka przezierza z kart obu książek (świadomie pomijam ekranizację *Kodu* jako ciężki bubel zaprawiony nachalną ideologią).

Bohaterem Browna jest Robert Langdon, „profesor ikonologii religijnej na Uniwersytecie Harvarda”, jak dowiadujemy się na początku *Aniołów i demonów*. Już samo miejsce zatrudnienia Langdona jest rekomendacją jego osoby. Znakomity amerykański uniwersytet musi być gwarancją pierwszorzędnych kwalifikacji swego pracownika. I rzeczywiście: Langdon bez trudu, choć – jak przystało na trzymający w napięciu *thriller* – nie zawsze w mgnieniu oka, rozwiązuje najtrudniejsze zagadki z zakresu historii sztuki, dziejów religii, tajemnic symboliki chrześcijańskiej, pogańskiej i tajnych stowarzyszeń. Ma w małym palcu wiedzę o kulturze starożytnego Wschodu, pogańskim antyku i chrześcijańskiej Europie. W tym jednak, co mówi, jak interpretuje znaki dawnych i obecnych kultur, a także w tym, jak się zachowuje, znaleźć można szereg elementów co najmniej dziwnych, dla badacza kultury czasami śmiesznych, momentami zaś irytujących.

W *Aniołach i demonach* Langdon wraz ze swą towarzyszką śledztwa dociera do rzymskiego kościoła Santa Maria del Popolo w poszukiwaniu kaplicy grobowej Chigich. Tam okazuje się, że grobowiec Aleksandra Chigi znajdować się ma „w pomocniczej lewej apsydzie”. By ustalić, o jakie miejsce chodzi, Langdon „niechętnie się odwrócił (...). Terminologia stosowana w katedrach [sic!] przypomina wskazówki sceniczne – jest zupełnie niezgodna z intuicją. Stanął twarzą do głównego ołtarza. Środek sceny. Potem wskazał kciukiem przez ramię do tyłu”. Choć zawód historyka sztuki uprawiam od dwudziestu lat, a wcześniej jeszcze pięć lat studiowałem ten kierunek, nie widziałem w tym czasie nigdy ani w Polsce, ani za granicą, by ktokolwiek „z branży” wykonywał w kościele podobne gesty. Śmieszne zabiegi Langdona mają jednak swój bardzo konkretny cel: prezentują mianowicie posiadaną przez bohatera wiedzę jako coś trudnego i niepojętego dla zwykłego śmiertelnika: „Terminologia stosowana w katedrach – powtórzmy fragment cytatu odnoszącego się do świątyni niebędącej kościołem biskupim, a zatem na pewno nie katedry! – jest zupełnie niezgodna z intuicją”. Trzeba więc najpierw poznać skomplikowany aparat pojęciowy złożony z niezrozumiałych słów, a następnie nauczyć się abstrakcyjnych reguł jego stosowania, by wyznaczyć określone miejsce w kościele. Langdon dokonuje tego po mistrzowsku, wskazuje bowiem miejsce Kaplicy

WOJCIECH BAŁUS

Dan Brown, jego macho i problem prawdy

Chigich bez pomocy wzroku. Jego skierowany „przez ramię do tyłu” kciuk to symboliczny gest naukowego macho z profesorską dezynwolturą okazującego swą klasę eksperta na najwyższej próbie.

Wyposażony w takie umiejętności bohater nie ma żadnych kłopotów, by rozpoznać najdziwniejsze nawet rytuały. W *Kodzie Leonarda da Vinci* to on zadaje Sophie pytania bezbłędnie opisujące oglądane przez nią ceremonie tajnego stowarzyszenia. To, że trafia w czas, gdy obrzęd się dokonał, to oczywiste. Ale Langdon wie z góry, że mężczyźni i kobiety byli ubrani na białą i czarno oraz że mieli maski w kształcie ludzkich twarzy. W konsekwencji stwierdza, że ceremonia, którą widziała Sophie, „nazywa się *hieros gamos* (...). Ma ponad dwa tysiące lat. Kapłani i kapłanki egipskie odprawiali ją regularnie, by uczcić kobiecą moc rozrodu, zdolność dawania życia”.

Każdy, kto zajmował się badaniem dziejów religii i kultury, wie, że hierogamia to coś znacznie więcej niż obrzęd egipski, że oznacza ona przede wszystkim boskie zaślubiny, powtarzane następnie w rytualnych formach przez ludzi. Takie rytuały nie mają jednolitej oprawy, bo nigdy nie zostały skodyfikowane w jakiś zamknięty system, i są znacznie starsze niż cywilizacja egipska i powszechniejsze od niej. Prawdziwy badacz kultury i jej symboliki nie mógłby więc, jak Langdon, pytać o stroje, lecz o istotę dokonującego się obrzędu: faktycznie o czas jego odbycia (bo moment przesilenia wiosennego jako czas odrodzenia jest tu decydujący) oraz o jego fazy, czyli wewnętrzną strukturę. To logika następstw rytuału decyduje bowiem o jego sensie. Dan Brown wkładając w usta swego bohatera pytania, na które uzyskuje potwierdzające odpowiedzi, osiąga jednak bardzo jasny cel. Przydaje wiedzy naukowego macho cechę absolutnej pewności.

Stąd już tylko krok do następnego składnika wiedzy o kulturze w wydaniu Dana Browna – do jej całkowitej jednoznaczności. Oglądając nagrobek w *Capella Chigi*, Langdon dostrzegł w kopule „dwanaście znaków Zodiaku”, które od razu określił jako pogańskie. „Jednak największe wrażenie wywarły na nim dwie wielkie rzeźby zdecydowanie dominujące w tym pomieszczeniu. Wpatrywał się w nie w niemym zdumieniu. *To niemożliwe* – powtarzał sobie. *To po prostu niemożliwe!* Po obu stronach kaplicy wznosiły się marmurowe piramidy (...). Langdon nie mógł oderwać oczu od piramid. *Co robią piramidy w chrześcijańskiej kaplicy?*”. Profesor Harvardu wie, że Zodiak to wymysł pogański, podobnie jak piramidy. Relacja

między plastycznym znakiem a jego znaczeniem jest dla tego „uczonego” całkowicie jednoznaczna. Podobnie dzieje się w *Kodzie Leonarda da Vinci* z krzyżem równoramiennym. Taki krzyż – zdaniem Langdona – „datował się na dobre tysiąc pięćset lat przed Chrystusem” i nie miał „żadnych związków z chrześcijańskim ukrzyżowaniem”. „Ich budowa”, tłumaczył Sophie, „sprawia, że nie nadają się do ukrzyżowania, a równowaga między elementem pionowym a poziomym przekazuje informację o naturalnej jedności pierwiastka męskiego i kobiecego”.

Całkowita jednoznaczność stworzonych przez ludzi symboli jest fikcją, o czym wie każdy, kto zetknął się z wytworami kultury. Krzyż chrześcijański jest także symbolem kosmicznym i można na to przytaczać cały szereg tekstów od średniowiecza poczynając. Nie ma też co dodawać, że krzyż tak interpretowany przyjmował często postać równoramiennego *crux quadrata*. Piramidy w chrześcijańskiej kaplicy w żadnym wypadku nie powinny dziwić profesora „ikonologii religijnej”, gdyż w nowożytnej Europie były dość powszechnie uważane za symbol nieśmiertelności. Te subtelności są jednak Brownowi obce. Konsekwentnie buduje on obraz nauki o kulturze jako wiedzy całkowicie pewnej i jednoznacznej. Odwołuje się w ten sposób do stereotypów scjentyzmu, którego przedstawiciele widzieli w nauce jedyną ostoję prawdy absolutnej: pewnej, bo dowodzonej w sposób niebudzący wątpliwości i jednoznacznej, a więc wykluczającej wszelką możliwość wątplenia.

Tak skonstruowana wiedza staje się sprawnym narzędziem w rękach akademickiego macho. Dzięki niej rozwiązuje on kryminalne zagadki w obu powieściach. Rola scjentyzmu u Browna na tym się jednak nie wyczerpuje. Dążenie do jednoznaczności i całkowitej wyjaśnialności symboliki pojawiło się w katolicyzmie w wieku XIX. W ówczesnych kompendiach ikonograficznych katalogowano prawidłowe i nieprawidłowe sposoby ukazywania Chrystusa, Marii, świętych oraz wydarzeń ze Starego i Nowego Testamentu. Z książek tych można się było np. dowiedzieć, że „dopiero Albigensi zaczęli przedstawiać obydwie nogi” ukrzyżowanego Chrystusa „jednym gwoździem przybite i bez podpórki. Więc błędu tego dla samego jego źródła hereetyckiego należy koniecznie unikać, tak samo jak umieszczania rąk wysoko i pionowo do góry, bo to wynalazek Jansenistów, chcących przez to okazać, że Pan Jezus umarł za małą część wybranych; gdy tymczasem ręce powinny być równolegle umieszczone i rozwarłe na oznaczenie, iż Chrystus umarł za wszystkich i pragnie zbawienia wszystkich” (Ks. Antoni Brykczyński, *Podręcznik praktyczny ikonografii chrześcijańskiej*). Takie podejście wiązało się z próbą naukowienia badań historycznych i nadania im znamion wiedzy ścisłej. Wynikało jednocześnie z zamknięcia Kościoła na otaczający świat. Katolicyzm ówczesny odcinał się od inaczej myślących – od innowierców, heretyków, socjalistów i wolnomyślicieli. Ścisłe odgradzano sztukę „chrześcijańską” od „pogańskiej”, starając się wymieść z kościołów wszystko, co miało antyczny rodowód, od nagich postaci poczynając, poprzez elementy stylowe architektury (np.

klasyczne porządki kolumnowe), a na piramidach kończąc. Poszukiwanie własnej tradycji było poszukiwaniem jedynej właściwej prawdy.

Dan Brown też poszukuje jedynej właściwej prawdy – prawdy odgradzonej od katolickiej prawowierności i jej przeciwstawnej. Jak już na to zwracano uwagę, przesłanie *Kodu Leonarda da Vinci* ma wyraźnie ponowoczesną wymowę, zakropioną ideologią Ery Wodnika. Langdon, odkrywając prawdziwy sens symboli i rytuałów, demaskuje rzekome wielowiekowe kłamstwo Kościoła katolickiego i dociera do głębokiej „wiedzy” o Jezusie, Marii Magdalenie i Świętym Graalu. Staje się w ten sposób kolejnym „mistrzem podejrzeń”, wskazującym, że wszystko to, co dostrzegamy, na co dzień jest kamuflażem. Ponowoczesni myśliciele kontynuują ten sposób widzenia człowieka, włączając jednak w obręb swych krytycznych analiz również naukę. Dla Michaela Foucault wiedza równoznaczna była z władzą, a więc instytucją społecznej opresji. Dan Brown nie sięga oczywiście tak głęboko. Nauka jest dla niego niekwestionowanym autorytetem. Stereotyp humanistycznego scjentyzmu wprzęga on na służbę ponowoczesnych bzdur parareligijnych, ekspercką sprawnością Langdona uprawomocniając opowieści o małżeństwie Jezusa, Graalu i Leonardzie da Vinci.

Swe drugie dno prawda ma także w *Aniołach i demonach*. Otrucie papieża może być ciekawą aluzją do spekulacji bulwarowej prasy na temat przyczyn śmierci Jana Pawła I. Pod koniec książki oczekujący na wynik konklawe ludzie są świadkami „cudu”: najpierw niezwyklej światłości pośród nocy, a następnie objawienia się kamerlinga na dachu bazyliki watykańskiej, choć wcześniej – za pośrednictwem telewizji – widać było, że wsiadał on do helikoptera. Ten cud jest oczywiście nieprawdą: w powietrzu wybuchł pojemnik z antymaterią, a kamerling skoczył z helikoptera na spadochronie. Kościół katolicki tylko przypadkiem daje tłumom widowisko, które interpretują oni w kategoriach wydarzenia nadprzyrodzonego.

Anioły i demony powstały w roku 2000. Świadomość, że za parę lat faktycznie musi nastąpić konklawe, nie była zapewne Brownowi obca. Wydarzenia z kwietnia roku ubiegłego całkowicie jednak sfalsyfikowały jego wizję. To, co wówczas nastąpiło, nie miało żadnych znamion niezwykłości. Oto umierał stary człowiek. W tym odejściu Papieża nie było nic z manipulacji, nic z „drugiego dna”, nic rodzącego jakiegokolwiek podejrzenia. W całkowitej fizycznej bezradności Jana Pawła II objawiła się w całej swej prostocie prawda o ludzkiej kondycji i o mocy wiary. I to ona właśnie porwała miliony ludzi, każąc im wyjść na rzymski plac Świętego Piotra, podążyć do kościołów lub godzinami patrzeć na telewizyjne relacje z Watykanu. Nikt nie oczekiwał cudownych objawień czy świetlnych znaków. Okazało się po prostu, że istnieją wydarzenia, których nie da się do niczego innego zredukować, wyjaśnić takim lub innym partykularnym interesem czy ideologią. Prawda zjawiała się bezpośrednio – poza wszelkimi „kodami”, fałszywymi „aniołami” i scjentyściami ekspertami.